

Jak zrobiłem karierę? Spieszcie się z kuponami!

Uprzejmością, dobrym towarem i dobrą obsługą zdobywa się publiczność

Od kelnera do właściciela restauracji

Jeśli na rok przyszedł publiczność zechce tańczyć na stolikach — ja się i do tego dostosuję!!!

Wywiad z p. Julianem Szymańskim, właścicielem restauracji „Savoy”

— Jedną z zasad, jakimi się kieruję przy prowadzeniu interesu, jest —

iść z biegiem życia i dać publiczności zawsze to, czego sama żąda —

mówi p. Szymański, właściciel hotelu „Savoy”.

Zasadę tą wyrobiłem sobie w czasie ośmioletniej praktyki przy prowadzeniu interesów. Dzięki temu w roku 1914, jako współwłaściciel restauracji przy hotelu Brühl

miałem dwa tysiące marek, w roku 1923, jako współwłaściciel rest. Hotelu Bristol (miałem już dwa i pół miliona marek), wreszcie jako współwłaściciel rest. „Oaza”

zwiększyłem swój majątek w czwórnasób.

Jako szesnastoletni chłopiec, wydany do gimnazjum w Radomiu (za wilczy bilet) zrezygnowałem z kształcenia się i zająłem się zawodem gastronomicznym. Szukanie zarobku spowodowało i to, że rodzice moi — biedni — nie mieli środków na me utrzymywanie — musiałem więc sam zająć się sobą.

Jako subiekt - kelner u p. Seydla w Warszawie praktykowałem trzy lata, potem jako płatniczy w restauracji hotelu Bristol dwa lata. Gdy miałem lat 21 wybuchła wojna i wówczas wyjechałem w wagonie „Międzynarodowego Tow. Wagonów Sypialnych”, jako szef restauracji pociągowej do Petersburga. Tu

poczułem tak olbrzymi zasób energii,

że gdy wyjechałem do Odessy, zająłem się prócz pracy zawodowej organizacją polskich oddziałów bojowych przeciw bolszewikom, za co później

władze polskie dekorowały mnie orderem Virtuti Militari.

Po powrocie do kraju w roku 1919 myślałem tylko o zrobieniu kariery w swoim zawodzie.

Restaurację Brühl, Bristol i Oazę prowadziłem ze współnikami

od 10 do 93 ludzi. Zorientowałem się jednak wkrótce, że spółka, złożona z wielu osób, nigdy nie daje dodatnich rezultatów.

W roku więc 1925 odebrałem swoją część od współników z Oazy i zakupiłem restaurację przy hotelu Savoy. W chwili objęcia Savoy'u zastałem interes ciemny, brudny i bez klientów.

Pierwszą moją myślą było przede wszystkim brak zaradcz. A więc: po krótkim czasie postarałem się, by było jasno —

240 lamp zabłysło w salach Savoy'u; —

czysto, — sprowadziłem nowy serwis i nakrycia,

wreszcie klientów. Temu warunkowi powodzenia interesu zaradziłem w ten sposób: kucharzom nakazałem sporządzać potrawy najwykwintniej, ze świeżego mięsa, świeżych ryb i najlepszych artykułów dodatkowych,

personel dziś liczący osób 93, dobrałem z pracowników wykwalifikowanych i delikatnych. Pracownikom nakazałem traktować klientów z wyszukaną uprzejmością, słuchać ich rad i wskazówek.

W biegu interesu stale myślałem o tem, by publiczności dać coraz to nowe atrakcje i urozmaicenia tak w potrawach, jak i rozrywkach. Dziś jestem tego zdania, że jeśli w roku przyszedł publiczność zechce tańczyć na stolikach,

ja się do tego dostosuję, żądanie bowiem mojej publiczności jest dla mnie rozkazem.

Stałe uwzględnianie postulatów publiczności pozwoliło mi w krótkim czasie rozwinąć re-

staurację Savoy, a nawet w roku 1926 otworzyć drugi lokal, „Cafe Sante”, której jestem również właścicielem.

Sardynki, samochody, śniadanka, obiady za publiczny grosz

W ślad rekordów złodziejskich Bartoszewicza

Wielkorządca Chorej Kasy Seel i towarzysze na ławie oskarżonych

Dziś przed Sądem Okręgowym, w osobach sędziów Lorentowicza, Rościszewskiego i Pothsa, oraz sekretarza Mazurka, stają organizator i pierwszy dyrektor Kasy Chorych m. st. Warszawy Hilary Sell, i jego towarzysze Jan Zagórski, Aleksander Czachowski, Eugeniusz Sobczak, Henryk Siss i Franciszek Rogowicz, jako oskarżeni o haniebne nadużycia w gospodarce Kasy Chorych.

Rewizje ministerjalne wykrywały szereg braków w gospodarce Kasy i frymarchenie dobrem publicznym

połączone z ciągnięciem zysków wcale okazałych przez pana Sella i zarazem

z zabawami na publiczny koszt. Naprzykład magazyn zakupywał rzekomo dla szpitala kosztowne produkty, jak kiełbasa, salami i litewska, sardynki, sery szwajcarski i tyłczyki itp., a było to spożywane

na drugie śniadanka przez pp. członków zarządu Kasy.

P. Sell „potrzebował” jeździć „służbowo”

samochodami Kasy po nocy lub wieczorami z artystami. P. Sell aprobował rachunki za masło, sery, a w rzeczywistości pokrywał z pieniędzy kasy koszt

kolacyjki u Wróbla

Nasze prógje gwiazdkowe okazały się doskonałym sprawdzianem sympatii, jaką cieszy się nasze pismo. Co godzina wozni redakcyjni wypróżniają skrzynkę, zawieszoną pod bramą przy ul. Szpitalnej 12, i znoszą z poczty do redakcji stopy listów, zawierających kupony na nasze premje gwiazdkowe.

Wobec licznych zapytań, przypominamy, że kupony „A” i „B”, zamieszczone w numerach niedzielnych i poniedział-

kowym mogą zastąpić dowolne dwa kupony, brakujące do kompletu.

Losowanie zostanie dokonane w obecności rejenta, poczem wykaz osób nagrodzonych zostanie wydrukowany w najbliższych numerach „ABC”.

Obecność czytelników przy losowaniu jest dopuszczalna, nikogo jednak nie obowiązuje.

Nagrodzonym czytelnikom za miejscowym kuponem zostaną przesłane pocztą.

na pożegnanie uczestników zjazdu Kasy Chorych.

wpierw wydawał zaliczki na zamówienia, na roboty drukarskie, a potem dopiero zaczęła pracować firma, która te zamówienia miała wykonać.

Ba, nawet urlop sześciotygodniowy potrafił spędzić Sell, rozjeżdżając

poprzez całe dzielnice Polski samochodem Kasy,

psując go i każąc i sobie, i szoferowi wypłacać diety.

Inni oskarżeni pozostają pod zarzutami bądź

wymuszania i pobierania łapówek

od dostawców Kasy przy dostarczaniu leków i in., bądź popełniania fałszerstw z rachunkami i dostawami.

Oskarża podprokurator Borowski, bronią Sella adw. Paschalski i apl. adw. Ruif.

Na rozprawę wezwano 28 świadków oskarżenia, 4 świadków odwoławczych Zagórskiego, 31 świadków Sella, oraz czterech biegłych różnych specjalności.

Oskarżenia odpowiadają z wolności.

Łatwo jest niestusnie oskarżać — trudniej potem oczyścić

Kto ma bronić czci urzędnika

W pewnej kasie kolejowej przeprowadzał rewizję kontroler kasowy i ustalił brak gotówki 250 zł.

Kasjera aresztowano i osadzono w areszcie śledczym, a Zarząd kolejowy zwolnił go ze służby.

Tymczasem po upływie kilku miesięcy wyszło na jaw, że ów kontroler nie miał pojęcia o rewizji kas,

że sporządził

fałszywy akt rewizji, bo w kasie rzeczywiście nie brakowało ani szeląga.

Sąd wstrzymał śledztwo, ale ów kasjer rok czekał na reaktywowanie bez wszelkich poborów.

Nasuwa się tedy pytanie, gdzie jest ustawa, któraby chroniła urzędnika przed następstwami takiego postępowania? W Ameryce

placi się w takich wypadkach wysokie odszkodowanie pieniężne.

Możeby się w tej sprawie na-der ważnej wypowiedzieli nasi prawnicy.

ALEKSANDER BŁĄZEJOWSKI.

39)

TAJEMNICA HOTELU PRZY ULICY CHMIELNEJ

— Ooo, to nie dobrze! W policji mógł pan wczoraj nabredzić jak w gorączce, a potem trudno się będzie wywinąć. Pan wie, że przy przesłuchaniu jest dziesięć „palmarzy”, na rozprawie zeznają tak równo, że zawsze zasypia najporządniejszego człowieka. Mnie tam wszystko jedno, mnie i tak czeka „gir”.

— Nie rozumie pana... —

— Nie rozumie pan co znaczy „gir”? Młody chłopak wykonał zdrową ręką naokoło szyi gest, jakby zaciskał pętlę, potem z niezwruszonym spokojem mówił dalej:

— Ano trzeba będzie pomaszzerować na fort św. Florjana, pan wie, tam, skąd się nie wraca ani do Warszawy, ani na Pragę, a tylko się idzie na sąd Boski...

— Żartuje pan chyba, — spytał Karnicki, nie przypuszczając, że zamknęło go w celi z tak wielkim przestępca.

— Iii tam żartuję. Właśnie prawdę gadam. Mówił mi dziś ten dziobaty dozorca, że stanę przed do-raznym. Pan wie już o tem kantorze Rebszejda przy placu Bankowym... Było nas trzech. Cwaniaki uciekły, a ja wsiąłem. Byliby mnie nie złapali, gdyby nie to, że pistolet hiszpański zaciął się. Na Senatorskiej ostrzeliwały mnie dranie, aż proch z muru leciał, ja oczywiście odpowiadałem i jednego zwałem w bło-

to, ale patrz pan, rękę mi postrzelili i pistolet się zaciął... Wpadłem jak mucha w pajęczynę. A na policji, to mnie bili i kopali, abym powiedział, jak się tamci dwaj nazywali. Ani słowa nie powiedziałem, choć mi tak kości łamali, że myślałem, iż w policji dadzą mi radę i Cytadeli nie będę oglądał...

— Ach to pan brał udział w napadzie na ten kantor wymiany, w którym zastrzelono buchaltera?

— Ja. I myśli pan, że siedłem tego żyda mordować, siedłem po pieniądze i to nie dla siebie... Mnie tam wystarczała tygodniówka, bo pracowałem jako monter w „Pocisku” i jeszcze matce dawałem, co jest wdową po listonoszu, a emerytury to ma 15 złotych na miesiąc. Mnie tam pieniędzy nie było potrzeba...

— A komu? — spytał Karnicki zaciekawiony opowiadaniem.

— Komu? — pyta pan. Mojej dziewczynie. Panie, to nie była pierwsza lepsza frajerka, to była kława dziewczyna. A taka inteligentna, że mógł ją pan wziąć pod pachę i zaprowadzić do Bristolu, a i tam byliby się dziwili, skąd taka ładna dziewczyna przy panu... Tak panie, to była bardzo porządna dziewczyna. Zapłaciłem jej w niedzielę kino, to dobrze, a nie zapłaciłem, to także dobrze, śmiała się do mnie i kochała mnie. Chciałem się z nią nawet żenić. Aż w lecie jakiś czort mnie zaniósł do Parku Skaryszewskiego. Tańczyli tam w altanie, a nas też ochota wzięła do tańca. Wiadomo, weszliśmy, siedli przy stoliku, a za minutę siadło koło nas kilku moich kolegów. Przeprowadzili jakiegoś fryzjera. Pan wie, takiego „brzytewkę”, co to wylizany, pachnie różnemi olejkami i ze cztery grzebyki ma w kieszeni. Brzytewka przypalił się do mojej dziewczyny i jazda ją pytać czy te naj-

nowsze filmy widziała, czy tańczy jakieś shimmy. A skakał, a śmiał się i zaprosił ją do tańca. Patrzę — chłop tańczy i nogami suwa, jak ślepy kot po rozpalonej blasze. Wieczorem wracaliśmy razem. Brzytewka wciąż koło mojej dziewczyny, wciąż jej coś do ucha gada, a ona, to czerwienieje, to błędnie i uśmiecha się do łobuza. Odprowadziłem ją do domu, a gdy stróż zamknął bramę i sam zostałem na ulicy, to zdawało mi się, że nieszczęście wlecieć się koło moich nóg, jak pies bezdomny. Chciałem się rzucić na ziemię i płakać, potem znów dopędzić brzytewkę i zadusić go temi rękami. Całą noc nie spałem, a przewracałem się z boku na bok, że stara matka pytała, co mi jest.

I panie od tego przekłętą wieczoru wszystko się zmieniło... Dzieciulenie, jakby kto duszę odmienił. Pachnie już ziemi olejkami jak brzytewka i codziennie męczy mnie o pieniądze. Wiem, że chodziła do niego. Ale jej nie przyłapał. Raz, to padłem jej do nóg i po butach całowałem, prosiłem, aby była inna. Nie pomogło. Raz, to znów ją zbiłem, że siniak na siniaku siedział na plecach. Także nie pomogło i dawałem pieniądze to na kino, to na sweter, to na pończochy. Nie starczyło tygodniówki, choć robiłem na godziny, a i fuszerkę w domach prywatnych. Jeszcze nie starczyło. Zacząłem pożyczać, potem rzeczy wynosić na Kercelak. Do chałupy bałem się przychodzić, bo tam stara matka płakała — chodziłem do szynku. Będzie dwa tygodnie, jak dostałem fuszerkę przy dzwonek w kantorze Bebszejda. Pieniądzy to widziałem tam jak piasku, i nasze polskie i dolary i jakieś angielskie. Podpatrzyłem, kiedy wychodzą na obiad i kto w kantorze zostaje. Potem zmówiliśmy się z dwoma jeszcze, że w sam obiad zajrzymy do kantoru. Ano zajrzeliśmy i tu jestem...

(D. c. n.)